

WIERZYMYS

W WOLNOŚĆ



Antologia opowiadań
o prawach człowieka

AMNESTY
INTERNATIONAL 

Wydanie 1
Skład: 180heartbeats+ JUNG v MATT
Copyright: Amnesty International Polska
2020

WIERZYM W WOLNOŚĆ

**Antologia opowiadań
o prawach człowieka**

na 30-lecie

Amnesty International w Polsce

PINGWINY Z ROBBEN ISLAND

REMIGIUSZ GRZELA

I

Mijały kolejne minuty, a ja trwałem w bezruchu, przyglądając się złotemu światłu, które popołudniami schodziło tutaj przez wysokie okna pracowni i tańczyło na ścianach i sylwetkach rzeźb, przynosząc dowód na sześć, siedem, osiem odcieni bieli, a ta w swojej najgłębszej istocie stawała się omal błękitna. Sięgnąłem po pilota, aby Vivaldi brzmiał jeszcze mocniej. Koncert skrzypcowy g-moll *Lato* idealnie współgrał z recitaleem światłocieni. Chciałem przyglądać się światłu aż ku jego upadkowi. To była ta chwila roku, której trzymałem się kurczowo, wiedząc, że nagle wpadnie tu mrok, na wiele, wiele tygodni, że zewsząd będę czuł chłód od zimnej kamiennej posadzki, poprzez wilgotne ściany, aż po wysokie sklepienie.

Cztery, pięć, sześć miesięcy...

Smyki ślizgają się po strunach, a ja ślizgam się na krawędzi lata.

Przy oknie stoi *Kronos*, którego nigdy nie dokończyłem. Ma wyciągnięte przed siebie ręce, a na dłoniach ciężki kamień, zawinięty w szarą materię. Długo szukałem. Chciałem, aby był to najzwyczajniejszy polny kamień. Któregoś dnia u znajomych w Borach Tucholskich trafiłem nad strumień, a on leżał u jego brzegu, opłukiwany. Kiedy go wyciągałem, był akurat jeden z tych najgorętszych dni, jakie tak rzadko się u nas trafiają. Nic tylko chciałbyś wskoczyć do zimnego strumienia.

Przywiozłem kamień do Warszawy w bagażniku starej toyoty. Oplotłem dziecięcą tetrą i posmarowałem gipsem. Omfalos, pępek

świata znaleziony na Pomorzu, symbol ocalonego, fatum Zeusa. *Kronosa* wyrzeźbiłem z białego roziskrzonego marmuru Naxos.

Był tu niedawno dziennikarz i zapytał mnie, jak się to rzeźbi.
– Jak się pył odejmuje? – zapytałem i pokazałem dłonie, które przez lata twardniały od uderzeń młotkiem mimo dłuta.

Światło nie było już ani błękitne, ani złote. Moje rzeźby też przygasały.

Sięgnąłem po grubą kryształową szklankę i nalałem wina. Wczoraj zapomniałem zakorkować butelkę i jakaś mucha zatopiła się i teraz wpadła do szklanki. Otworzyłem drzwi i chlusałem wprost na podwórko.

Czy w ogóle umiem wywiązać się z takiego zamówienia? Z jednej strony jako artysta i obywatel byłem dumny, kiedy się do mnie z nim zwrócono. Z drugiej, zawsze trudno było mi spełniać oczekiwania mecenasów. Czym innym jest moja idea *Kronosa*, dialog z mitem, czym innym portretowanie postaci, po prostu: pomnik. Nie jestem fotografem. Tak jak każdą inną rzeźbę i ten pomnik muszę wyrwać z siebie, najpierw tocząc z sobą spór, mnożąc wątpliwości, przeżywając kryzysy. W ostatnich latach wychodziłem na demonstracje, krzycząc z chórem: „Wolność! Prawo! Konstytucja!”. Z tym samym chórem z kretesem przegrywałem. Nawet nie zauważyliśmy, że tańczymy tak, jak nam grają. Ani nasze marsze, ani nasze rozpaczliwe hasła nie przynosiły żadnego rezultatu. Czarne parasolki, białe róże, płonące świece. Nawet Szary Człowiek, który spalił się pod Pałacem Kultury, nie obudził sumień. Z prochu wstał i w proch się obrócił. Tylko tyle.

Przestałem wierzyć w siłę gestów. A jednak ta propozycja mnie poruszyła. Nelson Mandela, wolność, której nikt nie potrafił zgasić. To był człowiek pomnik, więc dlaczego jeszcze ja miałbym go stawiać na cokole? Czym innym jest mój intymny hołd dla niego, *hommage à*.

Zaszło słońce i natychmiast skostniałem. Właśnie usłyszałem Yo-Yo Ma, grającego Bacha. Spotify odtwarzał moją ulubioną ścieżkę. Wysokie sklepienie pracowni przypominało teraz grotę, uśmiechnąłem się, myśląc o ukrytym w niej Zeusie. Za chwilę Kronos połknie owinięty w pieluchę kamień, a Zeus wyda z siebie rozsadzający czeluści płacz. Z tym płaczem rodzi się jego wolność.

Wstałem, aby zapalić światło. Freski i majaki rozpląnęły się.

Nelson Mandela przyjechał do Bangkoku na Światową Konferencję AIDS. Był rok 2004. Ktoś go prowadził za rękę jak dziecko. Miał poważne problemy ze wzrokiem. Proszono, aby nie robić zdjęć z fleszem. Wrogiem jego oczu było światło. Cierpiał na śnieżną ślepotę. Przez osiemnaście lat wyprowadzany był z celi o rozmiarach siedem na dziewięć stóp, czyli trochę ponad dwa metry na niecałe trzy, do pracy pod oślepiającym niebem Robben Island.

Światło stało się jego wrogiem. Naga żarówka w celi paliła się dzień i noc. Zamiast pryczy wąski filcowy koc na podłodze. Drewniany zielony stołek, na nim aluminiowa miska i aluminiowy kubek. Czerwony metalowy kubek. Wymierzyłem na podłodze pracowni prostokąt odpowiadający celi, w której spędził tyle

lat. Okleiliśmy taśmą. Położyłem cienki koc. Wykręciłem z lampy żarówkę, zostawiłem tylko jedną. Położyłem się. Wytrzymałem godzinę. Bolały mnie wszystkie kości. W końcu wstałem i zrobiłem kilka fotografii oznaczonej taśmą podłogi.

Oślaniali go przed hordą fotoreporterów. Obawiali się, że ktoś zrani go, walcząc o jak najlepsze zdjęcie.

Szedł spokojnie, wolno stawiając kroki. Tak łatwo było dostrzec w tym starym człowieku kilkuletniego chłopca. Dlaczego zapamiętuje się bezradność? Kiedy patrzę wstecz... Czasami tak łatwo odnajduję w sobie chłopca. Dlaczego nie dopuszczałem go do głosu i tak często kazałem mu milczeć?

Milczenie to judaszowe srebrniki.

Gdybym zdecydował się na tę scenę i wyrzeźbił bezbronnego starca prowadzonego za rękę, czy powiedziałbym o nim prawdę? I czy zostałyby to zrozumiane? Ślepnący mędrzec stojący na krawędzi. To dlaczego tak go dzisiaj widzę, jakby się odwrócił od świata i szedł ku przepaści, jakby nie chciał w tym uczestniczyć, jakby najpierw wołał nie widzieć, a później też nie uczestniczyć w barbarzyństwie.

– Stój! – krzyczy ktoś.

– Stój!

Jeszcze nie widzi, ale chyba rozpoznaje głos. Poznaje głos tamtego chłopca.

– Stój, Madiba.

Teraz uśmiecha się.

– *Ndiza kukukhokelela ekukhanyeni, Madiba.* Poprowadzę cię.

Chłopiec do niego podchodzi. Wyciąga rękę. Chwyta dłoń Madiby i przykłada ją do swojego serca. Madiba podnosi dłoń i kładzie na czole chłopca.

– *Intliziyo nengqondo* – szepcze starzec.

Czuć i myśleć. Nie wypowiada tych słów. Nie musi. Obaj doskonale to wiedzą.

„A ja wolność kocham ponad wszystko” – napisał Szary Człowiek, zanim się podpalił. Te słowa wracały echem, kiedy myślałem o Mandeli.

Ja, starzec, chciałbym zaprowadzić tego starca.

II

Dość szybko wdarł się chłód. Natychmiast zamknąłem uchylone drzwi. Świat za oknami wyglądał teraz jak szkic ołówkiem i tuszem, zszarzał, zaczernił się.

Dywanik leżący przy drzwiach nasiąknięty był wodą.

Narzuciłem na siebie wełnianą marynarkę.

Od paru dni szkicowałem twarz Mandeli. Wysokie czoło, wąskie oczy, które na kolejnych szkicach zwężyły się jeszcze, jakby chciały zniknąć.

A może niczego już nie chcesz zobaczyć?

A może już wszystko widziałeś?

Nie, nigdy nie miałem poczucia, że już nie chcę zobaczyć. Ale rozumiem tych, którzy nie mogli zmierzyć się z widzeniem. Moja żona zobaczyła za dużo.

Bezsilność staje się piętnem. Cięży nad życiem i nad śmiercią.

Przygotowałem wiele kartek.

Rzeźbienie zaczyna się na białym arkuszu.

Zawsze robię bardzo wiele rysunków.

Szkicuję tak długo, aż temat w tej formie wyczerpuje się.

Szukam na białej przestrzeni. Chciałbym kiedyś jeszcze zrobić wystawę swoich rysunków. Nie rzeźb, które są już właściwie formą doskonałą, tym *masterpiece*, ale właśnie prób na papierze. Chciałbym pokazać, jak pomysł rodzi się, niepewnie stawia kreśki, a potem odkształca. Lubię poddawać temat i pomysł własnej

krytyce, stawiać pytania i wątpliwości, zaprzeczać sobie.

Lascia ch'io pianga Haendla. „Pozwól opłakać okrutny los. I tęsknić za wolnością”. *E che sospiri la liberta*. Na mojej ścieżce Spotify śpiewa to Cecilia Bartoli. Oddychać wolnością. Czy w czerwcu '89 przyszło mi do głowy, że tę wolność tak szybko sobie zdepczemy?

Nie jestem wierzący. Jestem wątpiący.

Mam poczucie, że mój głos nic nie znaczy. Kiedy pozwoliłem go sobie odebrać? I co bym powiedział, gdybym miał szansę zostać wysłuchany?

Odkąd umarła, jeszcze więcej czasu spędzam tutaj. Nie wszędzie jednakowa samotność. W domu widzę ją w każdym kącie. Pracownia zawsze była azylem, tylko moją wyspą. A jednak wprowadziłem tutaj jej fortepian, jakbym chciał ze sobą spotkać te fragmenty naszych światów, które za jej życia były rozdzielne. Rozłożyłem papiery nutowe dokładnie tak, jak leżały w mieszkaniu. Czasem słucham jej płyt. Zdarza mi się, pracując, nagle obrócić tak, jakbym chciał ją zobaczyć siedzącą za fortepianem, przyłapać. Udowodnić sobie, że jest. Sobie niewierzącemu.

Nigdy właściwie nie opowiedzieliśmy sobie wojny, jedynie okruczeństwa, strzęp, mimochodem. Częściej we wspomnieniach przyjaciół padało coś, co warto by dopowiedzieć do kropki. Ale kropki nigdy nie stawialiśmy.

Kiedy się poznaliśmy i zaczęliśmy ze sobą być, cudownie za jasnieni erotyką, którą zaciągaliśmy się jak jointem, przeszłość przestawała istnieć.

Mówiły ślady na biodrze, pod łopatką, na przegubie, ale one też myliły tropy. Tylko raz, pewnej letniej niedzieli, kiedy nie chciało nam się wstać z łóżka, długo patrzyła mi w oczy. Aż nagle odwróciła się do mnie plecami i po chwili powiedziała:

– A wiesz, że prawie dziesięć lat miałam amnezję, jakby tamtego w ogóle nie było.

Nie odwracała się, ale wiedziałem, że płacze. Patrzyłem na doskonałe linie jej pleców, na kwiaty po poparzeniach. Tak nazywałem je w myśli, ale nigdy nie powiedziałem głośno.

W tamtych latach ztracała się. Ztracałem się.

Kochaliśmy i płakaliśmy do granic, uciekaliśmy, szukaliśmy, wskakiwaliśmy w przyjemność i w ból. To było takie proste, poczuć prawdziwy haj i prawdziwy dół.

Nie mogła mieć dzieci. A ja nie chciałem ich mieć.

Ścisnąłem jej dłoń.

Wiedziała, że ją zaprowadzę.



Usłyszałem pukanie. Prawie już byłem wybudzony z popołudniowej drzemki, ale i tak trudno było mi się zorientować, skąd, o co chodzi... Pukanie powtórzyło się. Dość ciężko postawiłem stopy na podłodze.

Otworzyłem drzwi. Stali w nich młodzi ludzie, czysty wdzięk – ona i on, mniej więcej dwudziestoletni. Uśmiechnięci. Nie przedstawili się. Zapytali od razu:

– Czy pójdziesz z nami?

Tak wprost, nawet nie zdziwiło mnie, że tak wprost zwracają się do mnie, chociaż się nie znamy.

Odwrociłem się.

– Tylko płaszcz – powiedziałem. Wzruszyli ramionami. Widząc to, zrezygnowałem z płaszcza.

– Dokąd idziemy?

Jednocześnie wskazali ręką.

– Co to jest? Co się stało? Jezu...! – krzyczałem roztrzęsiony. Nie rozumiałem ich spokoju.

Nic nie istniało. Miasto leżało w gruzach. Kamień na kamieniu. Tylko usiąść na nim i się rozpłakać.

Kto za tym stoi? Dlaczego?

Jak mógłbym przespać taki... nalot? Czy to był nalot?

Przychodziły do głowy słowa, które mogłyby coś zrationalizować, ale ogrom zniszczeń wymykał się jakiegokolwiek logice.

Nie było mojej kawiarni, mojej galerii, mojej ulicy ani następnej ulicy, ani Barbakanu, ani Rynku... Wisłę widziałem jak na wyciągnięcie ręki. Ale za rzeką też niczego nie było.

Ci młodzi wydawali się tacy beztroscy, pełni energii.

– Gdzie mnie prowadzicie?

– Potrzebujemy każdej pary rąk.

Kiedy zbliżali się w okolice, jeśli byłem to w stanie w ogóle określić, Krakowskiego Przedmieścia, zobaczyłem tam tysiące ludzi w euforycznej próbie odgruzowania tego pobojuwiska. Podawali sobie fragmenty futryn, które wyleciały z kamienic, cegły, roztrzaskane meble i tyle pierza wisiało w powietrzu, zbyt lekkiego, aby opaść na ziemię. Nigdy, nawet w czasie wojny nie widziałem takiego obrazu.

Od razu rzuciłem się do pomocy. Rozpłakałem się, widząc, jak oni wszyscy pragną odbudować swoje miasto. Patrzyłem na rozognione oczy, rozpalone policzki, na uśmiech.

Moja dłoń chwyciła a to kawał kamiennej tablicy, a to ceramiczny kafel, podawałem go dalej, aż ktoś gdzieś tam, daleko wrzucił na ciężarówkę. Setki ciężarówek wyjeżdżających, wracających.

Spod gruzu usłyszałem jakby gruchanie gołębia. Szybko rozgarnąłem. Pył odsłaniał omdlewającego ptaka. Wziąłem go na ręce, a on w bezwarunkowym odruchu odbił się od mojej dłoni i odskoczył w powietrze. I nagle padł głucho, pod moje stopy. Nie żył.

Właściwie nikt poza mną nie zwrócił na niego uwagi. Teraz zaczęło mnie zastanawiać, skąd w tych wszystkich ludziach tyle euforii. Nigdy nie widziałem jej na twarzach Ocalonych, a poznałem

wielu. Ocalenie to często krzyk, melancholia, samotność, pancierz, poczucie winy, wstyd. Oni tego nie mieli.

Podszedłem do tej dwójki, która mnie tu przyprowadziła.

– Nie rozumiem.

– Wiemy, że nie rozumiesz – odpowiedziała dziewczyna.

– Historia się nie powtórzy – mówił chłopak w uniesieniu, jak wariat obwieszczający prorocstwo. – Historia się nie powtórzy, słyszysz?!

I zaczął tańczyć jak wirujący derwisz.

Dziewczyna śmiała się. Dla nich wszystko było takie proste.

– My też tak mówiliśmy – próbowałem sprowadzić go na ziemię.

– Ty nic nie rozumiesz – powtórzyła dziewczyna i musiałem się z nią zgodzić. Stał obok nas starszy mężczyzna w lichym płaszczu.

Usłyszałem, jak mówi:

– Musisz tam wrócić.

Mówił to do mnie.

IV

Zbudziło mnie coś jak uderzenie w szybę. Usłyszałem głuchy brzęk. W jednym miejscu szyba wydawała się pomazana. Wyszedłem przed budynek. Na chodniku, pod oknem leżał gołąb. Nachyliłem się nad nim. Nie dawał oznak życia. Jednak kiedy go podniosłem, drgnął. Szyja przestała bezwładnie przelewać się przez moją dłoń. Miałem wrażenie, że na mnie spojrzał. Ucieszyłem się, bo żył.

Zabrałem go do pracowni. Położyłem na stole, między rzeźbami z porcelitu. Przyniosłem z łazienki ręcznik, wyścieliłem nim pudełko po butach. Gołąb ruszał głową, ale ciało miał bezwładne. Był ufny, pozwolił ułożyć się na miękkim ręczniku.

Zabrałem go do samochodu. Toyota służyła mi doskonale przez lata i na szczęście wciąż była sprawna. Karton spoczął na siedzeniu dla pasażera.

Byłem trochę zdenerwowany i ruszyłem z piskiem opon. Nastolatek wyskoczył mi jak spod kół, nie zauważyłem go. Nie, nic się nie stało. Ale krzyknął w moją stronę. I chyba miał rację. „Gdzie, dziadku?!”

Ale nie zamierzałem rezygnować z prowadzenia samochodu. Ciągle to lubiłem. Nigdy nie umiałem rezygnować z przyjemności.

Miałem nadzieję, że klinika weterynaryjna jest w tym miejscu, w którym była za życia naszego dobermana. To był piękny, choć niebezpieczny pies. Któregoś razu, na spacerze w lesie upolował sarnę.

Od czasu do czasu spoglądałem na ptaka. Samochód podskakiwał na posztukowanej ulicy. Karton skakał. Głowa była już całkiem bezwładna. Oczy zasnuła mgła. Zatrzymałem się na poboczu. Gołąb nie żył.

Ogarnęła mnie bezsilność.

Zawróciłem.

Zakopałem go pod drzewem w ogrodzie. Obok kamienia, pod którym spoczywał nasz doberman.

Włączyłem *Concerto grosso* Haendla. Uspokoilem się, otoczony tymi wszystkimi pięknymi przedmiotami, jakie były również i moim dziełem, muzyką, której od śmierci żony słuchałem właściwie cały czas. Kiedy żyła, pracowałem w ciszy, w skupieniu. Odkąd jej nie ma, być może tylko markuję pracę. Uniesienia szukam w dźwiękach. Przynoszą mi harmonię, wzruszają. Tylko w nich jest czułość, jaką mi dawała.

W tych ostatnich latach często zastanawiałem się, co by czuła dzisiaj, widząc palone kukły Żyda, swastyki na murach, bitych za kolor skóry, przekonania, orientację seksualną. Co by czuła, słysząc: „To nie są ludzie!”

Wiem, jak bardzo przeżyła rok 1968, 1969... Widziałem, czym jest dla niej ukrywanie swojego pochodzenia. Ciągle czuła się zbyt semicka. Nagle zaczęła farbować włosy. Budziła się w nocy, krzycząc. Któregoś dnia upiła się, mieliśmy taki żółty obrus, ściągnęła go ze stołu jednym pociągnięciem, zrzucając przy okazji wazon z daliami. Struga wody chlusnęła ze stołu. Pobieгла do kuchni po nożyczki i zaczęła wycinać z obrusa gwiazdę Dawida.

Krzyczała, że znowu ją sobie naszyje... Nie zareagowałem. Rozplakała się. Kolejne miesiące po prostu staraliśmy się jakoś przetrwać. I „jakoś” to jest właściwe słowo.

Raptem było coraz mniej koncertów. Organizatorzy odwoływali jeden za drugim.

Tamtego wieczora włączyła *Concerto grosso* z czarnej winylowej płyty. Nie, nic nie zapowiadało...

Ale potem żyliśmy jak na szpilkach.

W końcu uspokoiło się.

Karnawał Solidarności był takim wiatrem w żagle, taką radością... Dziesięć milionów ludzi idących po wolność, bez rozlewu krwi, tłuczenia szyb. Wierzyliśmy, że komuna upadnie, chociaż komuna uważała, że trzyma się mocno.

To był nasz karnawał wolności. Dawała recitale w Muzeum Archidiecezji. Ja trochę malowałem. Potrzebowałem jakiegoś manifestu. Wydawało mi się, że płótno jest odpowiednim sztandarem dla manifestów.

Znowu czuliśmy się młodzi, chociaż mieliśmy już pięćdziesiątkę.

W tamtym czasie Mandela wciąż siedział w więzieniu, choć przeniesiony z Robben Island do Pollsmoor...

Na wolność wyszliśmy prawie w tym samym czasie. My w czerwcu 1989 roku, on w lutym następnego roku. My obaliliśmy komunizm, on apartheid.

A potem świat zawrócił.

„Historia się nie powtórzy!” – krzyczał ten młody derwisz ze snu. Mimo wszystko to był dobry sen.

Zrobiło się już zupełnie ciemno.

Sięgnąłem po tom wierszy Zagajewskiego *Płótno*.

*(...) Będą burze
i nagły zmierzch pod zbyt ciężką chmurą
z ołowiu, będzie grad i łzy skamieniałe
i długie podróże w niemych pociągach,
ale nie każdy piorun zabija, nie każda śmierć
jest końcem i nie każde milczenie ciszą.*

I nagle go zobaczyłem. Pomnik Mandeli zakryty białym płótnem,
jak rzeźba wyniesiona z galerii do piwnic magazynu.
W końcu zrozumiałem, jak go wyrzeźbić. Zakryć. Przygotować
do wyniesienia.
Chwyciłem karton i zacząłem szkicować.

V

Zdecydowałem, że do swojej rzeźby *Przygotowany do wyniesienia* użyję tego samego białego marmuru Naxos, z którego wyrzeźbiłem *Kronosa*. Długa jest droga między nimi, wiele nadziei, o których nie mogę powiedzieć, że były zawiedzione. Przestałyby być nadziejami.

Na mojej ścieżce ironicznie *Adagio g-moll* Albiniego. Mistyfikacja, jakich tak wiele było w naszym życiu. Czyli nie Albinoni. Poza partią basu resztę dopisał współcześnie włoski muzykolog Giazotto. A tak na pogrzebach dotyka nas ta „barokowa” kompozycja...

Chciała, aby na jej pożegnaniu zabrzmiało *Adagio*...

– Wtedy się do mnie uśmiechniesz – mówiła. – Będziesz wiedział, dlaczego tak zdecydowałam.

Chciałem się uśmiechnąć.

Sam dałem się porwać temu banałowi.

Prawda bywa jak rzucanie ociekającym krwią mięsem.

Nikt nie oszukiwał siebie lepiej od niej samej. Tyle energii poświęciła knuciu przeciwko sobie. Naprawdę spokojną widziałem ją tylko raz. Tamtego dnia, kiedy ją znalazłem. Już niczego nie musiała się bać.

Linia jej pleców była doskonała. Kwiaty oparzeń nagle zrobiły się sine, jak zamierające tatuaże.

W ostatnim roku rzeczywistość wojny nałożyła się na teraźniejszość. Nie umiała tych przestrzeni rozdzielić.

Na jej nagrobek wyrzeźbiłem olbrzymie jastrzębie skrzydło i spletałem je kolczastym drutem. Nawet nie zauważyłem, kiedy zapadł zmrok. Cały dzień był ciężki jak ołów. Trudno było mi wydostać się na powierzchnię tego ledwo tłącego się światła.

Wydostać się na powierzchnię.

Na Robben Island żyją pingwiny. Tysiące nadwrażliwych, neurotycznych istot. Z dwudziestu siedmiu lat w więzieniu osiemnaście Mandela spędził na Robben Island.

23 czerwca 2000 roku podczas transportu rudy żelaza i 1300 ton oleju opałowego z Chin do Brazylii sześć mil od wybrzeży Afryki Południowej zatonął MV Treasure. Olej wyciekł do oceanu. 20 251 pingwinów znalazło się w lepkiej mazi. Próbowaly się wydostać.

Trzeba było przetransportować je do centrum rehabilitacji.

Pingwiny są istotami nademocjonalnymi. Zestresowany pingwin potrzebuje wielu godzin, aby się uspokoić. Wolontariusze wylawiali zwierzęta, by roztoczyć nad nimi opiekę. Musieli umyć je z zanieczyszczeń, ale nie mogli tego zrobić, dopóki pingwiny nie odzyskały emocjonalnej równowagi. 1957 pingwinów zmarło lub musiało być poddanych eutanazji. Po dwóch miesiącach 18 000 ocalańców wypuszczono do rezerwatu, mogli znów próbować wchodzić do chłodnej wody oceanu.

Żyję.

Każdego dnia napełniam się muzyką i czuję się trochę lepszym człowiekiem.

Żyję. To wielki temat. W każdej chwili jestem gotowy do wyniesienia. Ale to, co pod tym białym płótnem narzuconym na rzeźbę, to najokrutniejsze i najpiękniejsze, co się we mnie spotkało, na chwilę przydało się światu.

To, co pod tym białym płótnem, to tajemnica. Może ktoś kiedyś zechce ją odsłonić.

Dla mnie nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Dla świata... z naiwnością tamtego młodego derwisza powiem: tak, dla świata może mieć.

Dla świata na nic nie jest za późno.

Nigdy na nic nie jest za późno.

Strasznie tu ciemno. No tak, wciąż nie wkręciłem żarówek wyjętych z lampy, kiedy szukałem światła tamtej nieludzkiej celi zbudowanej dla nadludzkiego herosa.

Po prostu więcej światła.

Biel z jej odcieniami, złoto, prawie błękit.

Płynna granica bieli.

Płynna granica czerwieni.

„Stowarzyszenie Amnesty International Polska obchodzi w 2020 roku 30-lecie swojej działalności. W tym czasie wspólnie z Wami walczyliśmy o prawa człowieka biorąc udział w protestach, zbierając podpisy pod petycjami, cyklicznie organizując Maraton Pisania Listów. Mimo zmieniających się okoliczności zawsze motywowały nas nadzieja i wolność.

Z okazji tego jubileuszu realizujemy wyjątkowy projekt, który powstaje we współpracy z polskimi twórcami i twórczyniami literatury oraz agencją kreatywną 180heartbeats + JUNG v MATT. „Wierzymy w wolność” to zbiór opowiadań o prawach człowieka”.

Poznaj te historie na: amnesty.org.pl/wierzymy-w-wolnosc/

#30AmnestyPL

